

PRAW

29

Archiwum Wschodnie 239

Prawecki Andrzej, (ur. 15.11.1916 r. w Ruszelczycach koło Przemysła, syn Wojciecha i Katarzyny. Pracownik fizyczny, wyksz. 7 klas szkoły powszechnej. W Armii Krajowej od ~~1941~~ 1941, ps. "Szczer", Pluton 2 (Przemysł), Placówka "Klara". Wywieziony przez A.Cz. w listopadzie 1944/obóz w Jegolsku/, powrót w lutym 1946. Dokumentem jest zaświadczenie nr 6386 wydane 9. 2. 1946 r. przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego).

wreszcie-później

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Uwaga: w nawiasach - uwagi, które ~~nie~~ wyjasniono ^{lub w przypisach} ~~osobno~~ przeprowadzonej ~~przebiegu~~ ~~przebiegu~~ ~~przebiegu~~

Przed wojną mieszkałem na Zielonce, przedmieście Przemysła ~~pr~~ pracowałem na tzw. kolektorze, czyściłem te wszystkie kanalizacje w Przemyslu. Zarabiałem 12-20 zł dziennie, ale to była harowa, akordowa robota. W 1939 roku, jak uderzyli Niemcy na Polskę, ~~to~~ pracowałem u budowniczego, który nazywał się Szczepański i mieszkał w Domu Robotniczym. Potem (tuż przed wybuchem wojny) ~~on~~ / miał swoją kamieniczkę na Zasaniu, przy ulicy Wybrzeże Kościuszki, koło ^{siostr} ~~sz.~~ Felicjanek. Ta kamienica stoi do dzisiaj ~~z~~ z jednej strony jest półokrągła. Tam ~~u~~ niego robiłem do wybuchu wojny, już bomby na Przemysł zaczęły lecieć, a ja tam robiłem. On szalował okna deskami, bo dom nie był jeszcze skończony. Nasze wojsko wówczas miało trochę ~~ten~~ jakichś pukawek na Zniesieniu (wzgórze nad Przemysłem z pozostałościami poaustriackiego fortu) ~~on~~ i tłuści w tego Niemca, ale to na nic - gdzie miał, bombę rzucał... Paliło, rozwaląco...

W tym Domu Robotniczym to złodzieje mieli swoją siedzibę. Mieszkał tam taki jeden Gudkaj, Beluch się nazywał, i on wyprowadzał robotników przed starostwo, aby tam robili ruch - zbierał ludzi i ich policja przepędzała, Beluch zaś chował się na górę do urzędu starostwa /były klasztor ^{ojciec} ~~co~~ bonifratrów, obecnie siedziba Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Przemyslu) ~~on~~. Szczepański też był socjalistą, ale tak mi powiedział: "Pamiętaj, mój ojciec był socjalistą, ja też. Ale żebyś się do żadnej partii nie pisał, bo to sam złodziej!" I ja tak go posłuchałem. Tak mi było dobrze. Wytłumaczył mi jasno.

A dopiero jak Niemcy uderzyli na Ruskiego w czterdziestym pierwszym - bo tu była granica na Sanie - kolega, który organizował AK

na Zasaniu przyszedł do mnie i mówi: "Złapiesz za broń?" Ja mówię: "W każdym bądź razie. Kiedy chcecie." I przysięgę składałem na ulicy Tarnawskiego, gdzieś pod koniec września, ^{czy} na początku października, w czterdziestym pierwszym. A za dwa dni ja już na robotę musiał iść, bo nie było rady. Mieliśmy wtedy broń zabrać i schować tak, żeby ślad zaginął. Zabieraliśmy ją z magazynu AK właśnie z Tarnawskiego, bo tam była wsypa. I wziąłem tę broń do siebie, aż na Zielonkę. Wsypa była już za Niemców. A skąd była broń? Błyskawicznie! Błyskawicznie była. / p. Andrzej się uśmiecha - p. / Niemców się załatwiało błyskawicznie. Bo nie było krótkiej broni, długiej trochę było, ale na miasto potrzebna była broń krótka. No to my tak elegancko: szedł Szwab. A ten kolega, Siudak, który umarł w Jegolsku (o nim będzie mowa ^{dalej} - p.) mówi do mnie: "Słuchaj, idzie tam ze Szwabką Szwab i mają broń". A szli oni koło Zielonki. Ja miałem taki klin /nóż/ prawie na 30 centymetrów, ale nie sprężyna - sprężyna nie wszędzie była dobra. I my tego Szwaba wzięliśmy obustronnie. I ja go... hende hoh! Już ręce Szwabowi się trzęsą... Wszystko zabraliśmy, do Szwaba: sznell, żeby uciekał, a my w krzaki na drugą stronę. Idziemy, a gość jakiś leci i mówi: "Panowie, gdzie wy tak idziecie!" Ja mówię: "Usuwasz, bo...!" Teraz my już panowie! A on mówi: "Koło strzelnicy, tam Szwab z Polką cyrk robi!" To my dawaj - teraz mamy czym! Marynarka Szwaba, cały mundur na górze..., a mój kolega Siudak do niego coś po niemiecku zagadał, bo ja umiał tylko: hende hoh i na ser mater. (p. A. się śmieje). Zaskoczyliśmy tego Szwaba. On prosił, żebyśmy oddali broń, a miał pukawkę piętnastostrzałową, ta to spluwa! I niezawodna, na sto metrów jak huknęła, to dechę pięciocentymetrową ~~my~~ przebijali. Ja mówię: nie. To temu Szwabowi jeszcze w łeb daliśmy i tę babę w łeb! Bo poszła się tłuć ze Szwabem?! Stukli my stukli, stukli i poszli. I mamy trzy spluwy. I tak po troszku nazbierało się tej broni. Różne wyskoki, na ukraińską milicję też robiliśmy.

Jak Sowieci przyszli do Przemyśla, to było wcześniej, w 39-tym, jeszcze przed grudniem, bo w lutym czterdziestego wywozili już ludzi,

to przyszła kupa bandy, to nie wojsko! W pierwszym rzędzie rabusie, napadali na babki, różne rzeczy, co sami chcieli. Wojska Polskiego już tutaj nie było, tylko ~~to~~ my. To bydlaki byli! W czapach szpiczastych, śmierdzieli jak tyfus z daleka, bo jakimś dziedziem się nacierali. Mieli długą broń, długie karabiny. Do Polaków byli na razie na pół spokojnie, ale jak przyszli w 44-tym, to już napadali.

W 39-tym, jak mówiłem, Wojska Polskiego nie było, a my zaczęli dopiero robotę z Niemcami na całe pare. Trzeba było kapusiów, to tamto. Tu w Przemyślu dosyć tych kapusiów się wytłukło, pamiętam co najmniej dziesięciu, jak nie więcej. Pierwszy Płachta, ale uciekł. On pracował na poczcie, a chłopaki poszli tam do niego do domu. To on potrafił się córką zaskonić i do ubikacji, i przez okno uciekł, a córka została zastrzelona. Mieszkał na Zasaniu, na Ljpowicy. Na Zasaniu jeszcze jeden był, Szajna, też na poczcie pracował, a mieszkał przy ulicy Grunwaldzkiej w parterowym domku. Jego zawsze Niemiec odprowadzał, ale nie zawsze do końca. I raz kolega w niemiecki mundur przebrany czekał na niego, a w niemieckim mundurze dlatego, że Niemcy kupę pieniędzy dawali za niego, bo miał już za sobą parę wyroków. Nie znam go, nie pamiętam, bo on był w pierwszym plutonie, a ja w drugim, ja na obstawę więcej. I ten Szajna jak otworzył pysk, a ten mu cztery szusy puścił... Porozdzierało mu ~~ch~~ (p.A. pokazuje na twarz, szyję). I nasz człowiek uciekł do wody, na drugą stronę Sanu do zamku i stamtąd przyszedł do głównej siedziby "Żbika" zameldować wykonanie wyroku. "Żbik" był głównym dowódcą prawobrzeżnej części miasta, jego siedziba była ~~na~~ na parterze, pod dzisiejszym Muzeum Diecezjalnym. Chłopak zdał relację, oddał pistolet, bo choć miał swoją pietnache niemiecką, to na robotę dostawał taki ruski na bęben i pięć naboí. Potem się ulotnił z Przemyśla jeszcze z takim drugim - oni zawsze razem chodzili na robotę. Ten drugi był młodszy, ale perfektnie po niemiecku, zawsze elegancki, w niemieckim mundurze, oficerkach, ulicą zawsze chodził przodem i Niemcy mu salutowali. Też take maszyne pietnache miał. Więc jak się odbili stąd, z Prze-

myśla, to zameldowali się aż pod Jarosławiem i tam robili robotę znowu.

Ta pietnacha niemiecka to była niezawodna broń, tylko kopała strasznie. Ja niczym rękę wytrenowałem, to chodziłem ćwiczyć ją na Zielonkę do fortu austriackiego. Tam jest taka długa hala (pod ziemią) i tam siłowałem rękę, żeby nie drgała! /pan A. akcentuje mocno ostatnie słowo) ~~p./~~, tylko ja mam strzelić i ona się nie ma ruszyć. I wytrenowałem rękę. Tarczę zrobiłem, tylko świeca się świeciła i ja w te tarczę: bach, bach... wystrzeliłem cztery - już nie da rady... Za dwa dni znów... I takem rękę ułożyłem, wytrenowałem, że już nie trza mi było do celu brać. Nawet z biodra... haratnął - jest! Trza było wszystko wyrobić.

Teraz jeszcze jeden został zabity. Ale to był Niemiec! Podo- bała mu się nasza łączniczka i on do niej... że do hotelu..., a ona że nie do hotelu, tylko na ogrody, koło boiska "Czuwaju". I go tam wyciągnęła i on się tam... za dupę..., a ona mu: wiz, wiz... Wypier- doliła mu dwie sztuki tu jak serce... pohib. Jak się nazywała nie wiem. Nie znaleźliśmy się - konspiracja.

Teraz, w innym miejscu, tam gdzie kaźnia jest na Zasaniu, to gość, niby robotnik, w przebraniu, z takim potężnym młotkiem szedł i jak go (Niemca) ~~p./~~ rąbnie... Koniec.

Kapusia następnego to dopiero później, jak my wrócili /pan A. nie wytłumaczył skąd; nieprawdopodobne, aby z Jegolska) ~~p./~~. To był niejaki Wiszyński, który przed wojną był dyrektorem, za Niem- ców już nie i na ulicy Tatarskiej w Przemyślu budował sobie dom. Nasi poskali mu upomnienie raz, drugi raz, trzeci raz... Ostateczna robota była na Tatarskiej. Niemcy go też odprowadzali, ale zegnali go tu, jak biskupi mieszkają, koło katedry. A wyżej, koło obecnej szkoły inwalidów była brama jedna, za nią druga do wchodu (przechod- nia) ~~p./~~ i tam czekał na tego kapusia taki mizerny chłopak, nie znam jego nazwiska, mały chłopak, małą miał spluwę - szóstkę, ale mu dał trzy!.../pan A. podkreśla ostatnie słowa) ~~p./~~ kapuś wpadł,

a ten mu jeszcze - tfu - przylepił wyrok /p.A. wskazuje szyję) - ~~p.t.~~...
Syn i córka tego kapusia uciekli. Gdzie? Diabli wiedzą, do Niemiec
czy gdzie...

Jak szliśmy na akcję, to każdy miał kapsułkę w wyłogu marynarki.
To była niemiecka trucizna do użycia w razie nieudanej akcji, gdyby
zabrakło dla każdego kuli.

W lutym 1940~~41~~, jak zaczęli wywozić z Zielonki - zajeżdżali
w nocy furmankami - to byli w mundurach ^Pruski, żołnierze. Czy to było
NKWD tegom nie rozpoznał, ale w każdym bądź razie zabierali, nie
dali nawet nic wzięc na wozy. Niektórzy mieli swoje konie, to je-
chali swoimi. I to wszystko na stację Bakończyce. Tam ich wyładowali
i w pojazd. Ale jak ich wieźli, to tak się obchodzili jak z psami
- rozmawiałem z tymi ludźmi, którzy częściowo wrócili - dziecko jak
umierało, to wydarli przez okno na śnieg! Dużo ludzi nie wróciło
już... Na przykład Rybaka wywieźli całą rodzinę. Miał Józef na imię,
ale on sam im bryknął jeszcze wcześniej, przed wywózką, przeszedł
na Zasanie (lewobrzeżna część miasta) - ~~p.t.~~ i tam cały czas formował
Armię Krajową. Potem się znalazł tam, gdzie i ja, w Jegolsku. Tutaj,
po sowieckiej stronie, do wejścia Niemców w czerwcu 41 ^{czterdziestego pierwszego} była cisza.
Nie było AK, bo za jedno słowo to Syberia, Syberia... Pełno Ukraiń-
ców było tu, w Przemyślu, wszędzie. Nie można było śmiało coś po-
wiedzieć. Chyba że dobrze się ktoś znał z kimś. Mnie nie wywieźli,
bo ja pracownikiem byłem. Nikt nie wie, czy mieli jakieś spisy.

× Jak się zachowywali Ukraińcy? Jak ^Sowietci byli, to część szła
im na rękę, bo to komuniści ukraińscy byli. Byli milcjantami ukraiń-
skimi i na Słowackiego ulicy, ~~xxxx~~ niedaleko szpitala nasze chłopaki
ich nakryli jak oni w kartę grali. Żaden za broń nie złapał...
Zabrali wszystkie broń, manto wkurzyli... To było bodajże w czter-
dziestym drugim, już za Niemców. Za Ruskich też już ta milicja
ukraińska była, ale za Niemców już całą parą. Za Ruskich, to agresy-
wni byli tak na trochu. Ale jak już tam zrobili jakiś wypad, to wte-
poszło czterech chłopaków, a ich tam było siedmiu. Tak nasi potra-

fili podejść, pchnął drzwi i od razu pistolety nastawione... Ani kroku! I tam im dali manto, zabrali wszystkie broń, wsio! Nie ma! I tak chodziło. Ukraińcy działali przecieź na całą parę. W Grochowcach była milicja ukraińska, w Pikulicach milicja ukraińska, i oni wszędzie tam chodzili na wypady na drogi zabierać jaja, masło, jak bąbki z wioski nieśli żeby sprzedać, parę złotych... Nic nie pomagało. To było jeszcze za Sowietów. Za Niemców ja sam dostałem baty od tej milicji, bo chciałem uratować dwóch chłopaków, którzy niewinni byli niczemu, a tam coś zginęło na Zielonce. Nazywali się Sarniccy. Staszek i zdaje się Bronek, czy coś takiego. Mieli po 18 lat. Na Zielonce zginęło coś w liginszafcie, niemieckim gospodarstwie, tzn. zabranym przez Niemców Polakom i przez tych Polaków prowadzonym. I tych chłopaków posadzili, a ja Sarnickiego ojca i tych chłopaków znałem. To byli t a k i e chłopcy! (p. A. zgina rękę w łokciu) ~~—~~ Chłopaków później banderowcy zabili, ale wówczas, wcześniej, ta milicja miała ich aresztować. Więc poszedłem do gospodarza tego liginszafcu, a był nim niejaki Kochanowski, Polak, ale normalny, mówię mu, że będę świadkiem w obronie tych chłopaków. Kochanowski zadzwonił na milicję do Pikulic i tam poszedłem. Wchodzę, tam jest ^{pisem} gadów. Ja po polsku, ^a oni: "Teraz Polski nie ma". Ja mówię: "Będzie jeszcze. A chłopaki są niewinne, bo byłem u nich i oni byli w domu w tym czasie co w gospodarstwie coś zginęło." Oni mówią "Ściągaj buty". To ja ściągnął. Smary /tzn. bili w pięty) ~~—~~. "Gadaj" - mówią. A ja... troszeczkę bolało z początku. Ale - miałem zęby jeszcze - zacisnąłem... Jeden mi siadł tu, na plecy, drugi na nogi poniżej i gumą, w pięty. Aż się ogień sypał... Pierwsze baty... Takie kantowe gumy na pół metra mieli. Ale nie pocieszyli się długo... Nagle drzwi się otwierają szeroko - Niemcy gazikiem przyjechali. Ja nie wiedziałem kto, co, po co? Może będzie wykończenie? A jeden Niemiec - w mundurze niemieckim, kto to był, nie wiem - do tych policjantów po polsku i tego Ukraińca w łeb, w łeb, w łeb... Złapał go tu - za głowę i na ścianę nim - bach! Temu drugiemu... A oni już...

I ten /Niemiec?/ co po polsku, mówi: „A co oni chcieli od Pana?”
Mówię: „Nie wiem, przyszli mnie za świadka wziąć i takie baty...”¹⁾
A ja już nie mógł mówić, bo to przecież ból serdeczny - guma!
Niemiec mówi: „Ubieraj się Pan”. Ja mówię: „Butów nie ubiorę, bo nogi zaczęły puchnąć, z bólu. ~~x~~ Muszę naprzód wymoczyć, ale proszę mi dać zaświadczenie. Dlaczego ja mam za darmo takie baty zbierać? A gdyby chłopaków zabrali, ^tby ich pozabijali, dlatego w ich obronie stanąłem, bo są niewinni”. Szwab czapkę ściągnął na stół, napisał, pieczęć przybił... „Idź, tam potoczek płynie, zamocz nogi, ból usunie się”. Ale bosy szedłem do Zielonki, No bo co miałem robić? Ale chłopaki zostali uratowani. Było dobrze.

Żydzi to z początku - ha! - czołgi całowali ich, na Mickiewicza ulicy, bo oni stąd przyjeżdżali. A oni mieli czołgi, że czort im nic nie wyciągnie, bo tam nie ma motorów. Nic nie było, tankietki. I później, jak zaczęli wywozić, częściowo Żydów powywozili, ale Żyd to nic nie będzie robił. Wszystko się znalazło po tych biurach sowieckich. Jak my robili w kopalni, tam gdzie mnie ^wwywieźli, to tam każdy inżynier to Żyd.

Za okupacji niemieckiej akcje na Niemczech robiliśmy m.in. takie:

✕ ● Jak już Niemcy uciekali, oddział ich był zakwaterowany w liginszachcie, gdzieś koło Niżankowic pod Przemyślem. Było ich 80 może 100. Nas było 30-36. Oni byli zakwaterowani na odpoczynek. Tam dojechały cztery nasze furmanki, a my ścieżkami po lasach, w rozproszeniu docieraliśmy do punktu zbiórki.. Przed akcją trzeba było załatwić strażnika, chodził z psem. Poszli my w dwóch. Ten drugi znał dobrze teren i miał coś takiego, że pies powąchał i uciekł, a Szwaba z tyłu /p.A. pokazuje imit^ując uderzenie) ~~pr~~/... przeciągnął go i koniec. Kabel założył, ale nie zabił. Nasze karabiny maszynowe, ^uszuk - talerzówki - były rozstawione i miały strzelać w razie czego, ale rzadko, bo szkoda amunicji. Ale nie trza było strzelać. Niemcy byli zaskoczeni i puciekali. Wszystk^uę broń zabra-

liśmy, granaty, amunicję. Magle, gdzieś z szopy padł strzał do góry, a nasze talerzówki: tatata, tatata też do góry, stąd, stamtąd, wyglądało jakby dwie kompanie wojska było. My wszystko na wozy, wozaki z tym gdzie indziej, a my - niby razem - kawałek poszli w jedną stronę, później rozdzielili się na ścieżki. To był ciężki orzech. Z ich strony tylko jeden strzał poszedł.

• Przy wysadzaniu niemieckich transportów kolejowych ja nie byłem, ale z Przemyśla zrobili co najmniej jeden most - na Wiarze (rzeka, prawy dopływ Sanu) ~~prz~~, jak się z Przemyśla na wschód jedzie. Pojechało tam czterech ludzi, pod wieczór to było, wysmarowali się błotem i podłożyli miny. Wyleciała lokomotywa i ^{osiem} wagonów.

• ^{Dwie} 2/liginszachty zostały zniszczone ~~in~~.in. Zielonka - aby nie dopuścić, żeby Niemiec zdążył wymłócić i zabrać zboże. Na Zielonce nie było obsługi niemieckiej, ale trzeba było zlikwidować maszyny, piece, młocarnie... Drugiej miejscowości nie pamiętam, ale tam zostało dwóch naszych ludzi zastrzelonych. Na wojskowym cmentarzu leżą.

• Na komunistów,.. wiem tylko tyle, że jak już ktoś był kapu- siem, to był wszystkim. No, później ^(w 1940 r.) ~~(w 44 tym?)~~ ~~prz~~ to nie można się było ruszyć. I nie było czasu!

• W czasie wojny z banderowcami starć nie mieliśmy właściwie, bo takie tam małe to nie jest starcie. Zabili kilku naszych później, w czterdziestym czwartym chyba, jak my już byli w Rosji. To byli bracia Sarniccy, Krupa - młody chłopak z Zielonki, jeden sierżant z wojska polskiego, z I Armii WP, który przyjechał na urlop do Przemyśla. Jego wcześniej stąd wywieźli na Sybir, ale wrócił z Kościuszkowcami. I ktoś ich podpuścił, skierował na przynętę... Jak poszli, ani jeden już nie wrócił. Ciała potem ludzie znaleźli na skraju lasu koło Zielonki. Do lasu tam wtedy nikt się nie zbliżył, bo przecież banda chodziła na grandę. Nie było wiadomo kto to zrobił, ale później, jak wróciliśmy z Jegolska, wachaliśmy

koło tej sprawy. Tam na Zielonce mieszkał taki Libowicz, Ukrainiec. Miał dwie córki i dwóch synów, starszy Michał. Później ich nakryli na tym, że mieli spółkę z banderowcami i jedna z córek siedziała 7,5 lat, druga 8. Jak była potem amnestia dla wszystkich bandziarów, to wyszły. Jedna wyszła za mąż na Przekopaniu (dzielnica Przemysła) ~~pat~~, a druga pojechała do Ameryki.

Rosjanie wkroczyli do Przemysła w ~~44-tym~~ ^{czterdziestym czwartym} w sierpniu, a w listopadzie zostaliśmy aresztowani, z 16 na 17 listopada. Wyłapali nas jak króliki. To było UB w mundurach ruskich, mówili po rusku. Z Zielonki aresztowali ^{osiem} 8 sztuk i zawieźli do Przemysła na 1 Maja, dawniej była to ulica Dworskiego. Po jednej stronie jest policja (dzisiaj również, 1 Maja 26) ~~pat~~, a po drugiej - tam było przesłuchanie, w piwnicach. Tam było coś dwa lub trzy budynki ^{visa vis} ~~wiza wi~~ milicji, władza rosyjska zajęła je i tam nas przywieźli. Rewizje, smary (pobicia) ~~pat~~... Tu, przy lewym uchu mam pamiątkę /ślad po ranie) ~~pat~~, cztery zęby mi wyleciało. Na przesłuchanie jak mnie wyciągnęli z piwnicy na górę, to na biurku leżał polski wis. Ten, co przesłuchiwał, zaczyna do mnie po rusku. Był bez stopnia, wszystko na gładko. Pyta się o takiego starszego gościa, był starszy ¹⁰ 10 lat, pseudonim "Czyżyk" - Józef Rachwał, mieszkał na Zielonce w nowym domu. Myśmy razem pracowali w AK. I ten ubek pyta: "kakoj on starszyna?" Ja mówię, że on starszy ode mnie dziesięć lat. "Ta ty jobany", tak mówi. Ja, że bym wiedział co będzie, to stanąłbym pod ścianą i byłbym mu dał w bebech, i z kopa, i byłby się zwinął, a on mnie tym wisem... Jak ja wpadł, krew mi się puściła i zaczęło mnie dusić. A on krzyknął do wartownika, który z pepeszą stał przy drzwiach, żeby wiadro zimnej wody przyniósł. Prawe ucho mniej było uszkodzone. I on mnie złapał i łbem tak do wody. Ta zimna woda wstrzymała ^o / że krew ze mnie tak nie waliła. Ale ja ustami nie ruszyłam. Czuję, że mnie dusi, bo krew się zatrzymała i dusi, i pomazę palcem wyciągam to i słyszę, że w wiadrze tam mnie coś zadzwoniło, a to te zęby tam wpadli. Ten dyżurny, z tym automatem, mówi: "Sidi, job twoju

mat". A ja nie mógł nic mówić, bo ja by mu odpowiedział, że ja by twojej nie chciał. Po chwili przyniósł mi herbatę, czaj gorący, ale ja tego nie mógł pić, boby się krew dalej lała. Ten co przesłuchiwał mówi: ¹¹„Słuchaj, my mamy wszystkich spisanych, a teraz ty powiedz, jakim ty był starszyną". Ja mówię: szeregowy. Mówię tak ledwie, ledwie. „Nu, pojedziesz ty na białe niedźwiedzie"...

Przesłuchanie było na parterze w pomieszczeniu 3,5 na 3,5 m, tam był tylko stół, dwa krzesła i okna od południa. Wszystkich przesłuchiwali, pytali o starszyny, ale nikt im nie powiedział. Żbik uciekł, bo już nie było rady, znalazł się w Warszawie. Nie odkryli go, a był przecież szefem prawie całości rejonu przemyskiego po prawej stronie Sanu.

X W tej piwnicy ^{cztery} dni siedziałem. W jednej piwnicy było nas tych ośmiu, a razem napchali nas trzy auta ciężarowe, ^{pięć dni siedzieli} z 50-eiu ludźmi, z Przemyśla, z Zasania byli... z Winnej Góry (dzielnica miasta) ^{był} było dwóch, jednego znam, dziś już nie żyje, nazywał się Grochowski, przed wojną był rakażem, hyclem, też był w Jegolsku. Był młodszy ode mnie. Jak wrócił z Jegolska, dalej był hyclem. I po powrocie, jak mnie zobaczył, mówi: „Andrzej, ta czego ty do mnie nie przyszedł?" A ja powietrza... tak, dychał tylko ^{p.} (p. Andrzej do dziś ma krótki oddech i ciężko oddycha) ^{p.} nie mogłem oddychać. Zaprosił mnie do siebie na Szajbówkę, na Grawidołkach (dzielnica miasta poniżej Winnej Góry) ^{p.} Przyszedłem, siadłem, a on do córki mówi: „Przynies pół litra." Ja mówię: „Co Ty, zwariował? Ja bym się zadusił i zabiłbym". „Nie bój się". - Do córki ⁴ - Weź tam z piekarnika..." A on to mięso z psów... Bo które psy były zdrowe, to zacharatał... Wyciągnęła sznycle... „Daj, daj, chleba nie trza". Ja mówię: „Co Ty!" „Żyknij se troszku". Wlał mnie większą pół szklanki. „Co Ty robisz!" mówię. „Niech on powie - pokazuje na mnie mówiąc do córki - on płakał, bo z bólu, a ja z żalu" / w Jegolsku ^{p.} Nic tam nie pomagało. W tej piwnicy, na UB, jak nas tam ^{pięć dni siedzieli} 50-eiu siedziało, ludzie stali siedzieli, bo na spaceru nie było miejsca. Z tych ośmiu z Zielonki

to był: "Czyżyk" - Józef Rachwał; Jan Wojciechowski, starszy ode mnie, w przedwojennym Wojsku Polskim był szeregowym, nie miał jeszcze pseudonimu, ale już działał; Kłyż Tadeusz, też bez pseudonimu, ale też już pracował. Nie było czasu dać pseudonim, bo ciągle mieliśmy akcje - było dużo broni, trzeba było ją magazynować dobrze. Józef Rybak - ps. "Ost"^e - był, ale spotykaliśmy go już na Bakończech w przejściowym obozie ~~gdzie~~^{dokąd} z tych ubeckich piwnic nas zawieźli. Siedział z nami jeszcze taki Lis Józef - kapuś, jak później się okazało, Jego już z 1 Maja wypuścili, bo wtedy, co zajechali po nas wszystkich do domów, to on miał już sprawę załatwioną, miał urodzenie w Ameryce i oni go puścili. Kto wie, czy to nie jego pisanie było (sporządzanie listy akowców) ~~p.t.~~, bo to była jakby wsypa, bo jak my wrócili z Jegolska, to on z żoną od razu uciekł do Ameryki i się nie pokazał. I my go nie mogli sprzątnąć. Tu jest taka rzecz: my go mogli sprzątnąć po powrocie, ale za nami stróże (UB) chodzili, było ciężko. A broń była, była pochowana, nie zdążyli jej nam zabrać jak nas wywozili /p.Andrzej śmieje się) ~~p.t.~~.

Po czterech dniach załadowali nas w auta i zawieźli na Bakońcycze do obozu, tam była kupa ludzi z całej Polski? Przed wojną były tam koszary 22 pułku artylerii konnej. I tam Niemcy koło nas pracowali: głowy strzygli, golili. Jeńcy niemieccy. Wcześniej, jak Niemcy ruszyli na Ruskich w 41-szym, ^{ekstremnym piennym} to sami tam tych Ruskich trzymali. Obóz był przy ulicy Lwowskiej, dzisiaj też stacjonuje tam jednostka wojskowa. Więc jak nas tam przywieźli, pogolili, jakimś smarem piekącym każdy się musiał smarować, później łaźnia. Po paru dniach załadowali nas do ruskich wagonów, po 44-45 ludzi w wagonie, 2500 ludzi i na wschód. To nie był pierwszy transport, wcześniej już wiele takich transportów wyjechało. A nas wywieźli dlatego ~~tyk~~ szybko, bo nasze chłopaki, już my mieli cynk, mieli nas odbić. Ale oni (Ruski) prędzej wiedzieli, bo i pośród nas znalazł się jakiś kapuś i przyspieszyli nasz transport na dwa dni przed akcją! My już byli przyrychtowani: jak się zacznie strzelanina, atak na bo-

ciany z zewnątrz - my na druty. Mieliśmy czym przecinać druty też, były nożyce z wolności przemycone. Bo tam był jakiś Szwab - też jeniec, ale taki miejscowy - chodził na miasto coś załatwić, kupić i załatwiał nam także... Ale co z tego... W tym obozie to było samo AK, Polacy z całej Polski, z Lublina, z Warszawy. Nie znałem ich, bo my tylko trójkami się znali - szliśmy na robotę, to ja siebie i dwóch kolegów znałem.

Wieźli nas jak psów. Jeden chlebuś na siedmiu, do chleba dwa wiadra wody na wagon. 16 dni i 16 nocy wieźli bez przystanku, lokomotywy tylko zmieniali. Na zewnątrz powybijali my gwoździem dziury tam, gdzie sęki w dechach byli. Była gorączka, chciało się pić, zimno, bo w listopadzie śniegiem zaczęło padać już w Przemyślu, a ^{poniej} dalej na wschód, to więcej śniegu. Jechali my na Lwów, tam lizaliśmy lód na gwoździach jak wściekłe psy. A prócz tego jeden nam na Bakończycach uciekł, potrafił uciec. To był Polak. Stało się to zaraz po wyruszeniu, jeszcze na Bakończycach, koło pałacu Lubomirskich. To taka strzelanina się stała... ale ani jedna kula go nie dostała. Tam więcej ich uciekało, to było tak: jak my ruszyli z tych Bakończyc, przyrychtowali się, że będziemy coś działać - uciekać. Tymczasem w innym wagonie zaczęli pierwsi: wyrwali dechę i zaczęli uciekać. I jakiegoś starszego gościa zahaczyło popod ~~na~~ koło, obcięło mu piętę, zrobił się krzyk. Z naszego wozu /wagonu) ~~tam~~ gość, taki dość wysoki - znał Rybaka - silny był, podeszedł do okienka co było w górze, (zakratowanego) i z drutem kolczastym, jak złapał... szarpnął i wyskoczył. I poszedł na Zielonkę do domu Rybaka, ~~z~~ het polami szedł i powiedział jego siostrom, że wszystko pojechało do Rosji. Nie kazał pisać. "Ale wiemy - tak powiedział - przez kogo i co, i jak się stało". To ten Lis właśnie co uciekł do Ameryki! Miał 22 lata, a na Zielonce mieszkał z siostrą, bo rodzinę ^{człowiekiem} ~~mi~~ w 40-tym wywieźli na Sybir.

Jak ta strzelanina się zaczęła, parowóz stanął i wtedy tych bidaków z drugiego wagonu pozabierali, coś ich ze czterech tam

było - jeden zgubił czapkę, to szukał - a coś ze dwóch uciekło.

Jechaliśmy obok Moskwy naprzód, ^{potem w lewo na północ} do stacji Borowicze. Tam wysiadka, mróz czterdzieści stopni, a nas czwórkami siad na lód. No i takie te tatary, diabeł wi kto jak to wszystko z automatami, psami, karabiny maszynowe - te na łapach, talerzówki - ustawione krok w krok... My przymarzali do ziemi z tego mrozu. Trwało to siedzenie dwie i pół godziny, ja tak zmarzł, że mnie koledzy ledwie oderwali od ziemi, bo byłem tylko w kąpielówkach, bez gaci, bez niczego, takie spodenki tylko, podkoszulka, sweterek bez ~~re-~~ rękawów i taką zarzutkę miałem, z Niemca przerobioną, żeby było letko wszędzie. Tak byłem ubrany jak na robotę - tę szybką: i do ucieczki i do szybkości (p. Andrzej się śmieje). I później to letko mnie przeszło, że jak nas przeprowadzili tam do obozu - a ze stacji było 12,5 km - ja myślał, że już koniec za mną. A jeszcze jak się wchodziło do obozu, przed tą bramą piekielną, taki jakiś generał z wielką czapą stanął na stole i zaczyna do nas przemawiać. A każdy taki zmarznięty! Mnie koledzy prowadzili pod pachę trzymając, bo inaczej to z tyłu na auto by mnie załadowali tak, jak z innymi bidakami robili, którzy po drodze zostali. Trzy i pół miesiąca leżałem od tego siedzenia. Zapalenie płuc, zapalenie pęcherza, nieżył żołądka i jelit... Do lazaretu od razu mnie nie zabrali i parę dni jeszcze dychałem w baraku, ale ta gorączka, wszy zostawione po Niemcach mordowały. A byli takie wszy na dwa centymetry, ja mówił, że to krzyżaki, bo tak żarło. Lazaret to była taka mała kajutka w tym samym baraku, gdzie mieszkali wszyscy. Pracował w nim lekarz-Polak, też aresztowany, ale miał tylko pastylki moczopędne. A ja gorączka, gorączka, gorączka... Przyszedł taki czas, że ja już nic... spaliło mi pyszczysko... całego ostrupiło, byłem nieprzytomny, coś ze dwa dni. Kiedy się obudziłem, zacząłem zdzierać strupy... Koledzy zrobili mi nie herbaty, ale troszku chleba spalili na piecyku i tym mnie nakrapiali. Jeden dzień, drugi, trzeci, tak pomaku dochodziłem. Przychodził niemiecki lekarz - bo tam były

baraki z Niemcami - stawiał mi ^{pięć} baniek na plecach, na wacie, bo nie było spirytusu. I tak pomału... cztery razy postawił i wszystko. A Fedkiewicz Kazimierz (kolega z AK, do dziś mieszka w Przemyślu) w kuchni pracował. Tam kartofle z gliną obierali, to przecież człowiek, choć głodny, tego nie jadł. Fedkiewicz, sprytne chłopisko, w Przemyślu mieszkał na ulicy Kraszewskiego, koło zielonego rynku, pseudonim miał "Krzywy". Zawsze mi przynosił takiej zupy gotowanej na rybach - zbierał z wierzchu tłuszcz i to przynosił dwa razy dziennie - w południe i wieczorem - dwie puszcзки małe, półlitrowe. I pomału, pomału, pomału przylazłem do siebie. Trzy i pół miesiąca leżałem na dechach jak pies!

Ale niczym to mnie złapało na fest, to oni, mochy, pytali się kto chce iść do armii polskiej. Przyszedł jakiś tam starszyna na barak i wszystkie Polaki - mówi - pisać prośbę do Żymierskiego, do Wojska Polskiego. A był jeszcze jeden kolega, którego wzięli ze mną z Zielonki, Siudak Stanisław. Ja prawie na pół sztywny, ale mówię do niego, że jak mam tu zdychać, to wolę do tej armii iść. I napisał, wszyscy koledzy się wpisali, chyba.

Powoli ja się uczył chodzić, przychodzili koledzy, ci wszyscy z Zielonki i mi pomagali. Po paru dniach zrobili zbiórkę tym wszystkim co się zapisali, dali nam takiej gorącej zupy, ~~tan~~ tam gdzieś kapustka latała, albo nic, dali nam po pajce chleba, po 20 dkg ~~deka~~ to jak Pan zdusił, to się gałka robiła czarna. Woda ciekła. I jak nas prowadzili - to do roboczego nas zaprowadzili. Tak żeby nie skłamać, to trzysta kroków było. Szliśmy pod taką górę, to już był inny obóz. A po drodze, bękartu ruskie, tzn. najduchy, wołały: "My polskie pany, wy naszych bojców ubijali". Koledzy mnie prowadzili bez przerwy, bo inaczej bym nie doszedł. I człowiek myśli: jak by cię tak kopnął, to by na ten księżyc poleciał.

My przyszli pod tę bramę - to była druga piekielna brama. Tam nas było trzy i pół tysiąca ludzi. To był najgłówniejszy - Jegolsk. W tamtym poprzednim obozie mieszkaliśmy w takich półziemian-

kach, z których na ziemię wychodziło się do góry po kilku schodkach. Tutaj, w nowym obozie, baraki stały na podwyższeniu, dwa piętra pryzmów, pod głową drewniaki - drewniane buty, bo nas już przemundurowali w niemieckie mundury, w kufajkę, niemieckie spodnie i drewniaki; w tym przyjechaliśmy do Polski. Ja ważyłem 38 kilo we wszystkich frakach! (w momencie powrotu). *apx*

Tam byłem do końca, kiedy nas zwolnili. Do domu przyjechałem 9 lutego - do Białej Podlaskiej, gdzie nas wysadzili.

Przesłuchiwali mnie jak już doszedłem trochę do zdrowia, już w tym roboczym obozie. Przyszedł wtedy jakiś goniec i mówi: „*flaty-chmiast, prędziuśko!*”. A ja na pryzcu... Kufajkę na siebie, drewniaki na nogi - poszliśmy tam do biura. Było ich tam czterech - cywili. Pyta jeden, skąd ja się nauczył po rosyjsku - oni pytali po rosyjsku, ja po rosyjsku odpowiadam. I w ogień krzyżowy: ten stąd, ten stamtąd i zakurij. Ja papierosa wziął, bo człowiek spragniony. Ten tak pyta, ten tak pyta, a ja mu na to: „*Słuchaj, albo jeden będzie pytał, a na dziesięciu to ja nie mam dziesięć pysków żeby odpowiadać!*”. Bo już mnie wkurzyło! A ten mówi: „*O, to ty tak po rosyjsku się nauczył, jakbyś był gdzieś tutaj stąd!*”. Ja mówię: „*Ta jestem stąd, bo jestem tu, ale jestem Polakiem z Przemyśla!*”. No, namęczyli, namęczyli. „*No idi!*”. Za jakieś dwa, może trzy tygodnie - bo tam człowiek ani czasu nie wiedział, ani nic, bo jak ktoś jakiś zegarek miał, to pozabierali wszystko - znów... Pytali ci sami, o to samo - jedno i w kółko. Przez to, że do nich ze złością mówiłem i po rosyjsku, od razu, od wejścia, tym ich szachowałem. Jak on do mnie: „*ty kjobany!*”, to ja mówię: a ty jaki? Też kjobany! „*Ty durak!*”. Ty też durak! Mówię: „*Co chcesz? Ja pracuję, wszystko za-pomniałem co było!*”. A oni pytali o wszystko, bo chcieli wyciągnąć czy czasem na czymś mnie nie złapią. „*No idi w czorty!*”. Ja mówię: „*W czorty ja nie idę, idę do baraku spać!*”. I tak im się odgryzałem. Tym drugim razem pytali mnie o Fedkiewicza i takiego nieboszczyka sierżanta, Słysz Jan się nazywał, był z Zasania, a kiedy stamtąd wrócił tu go

wykończyło UB.

Obóz otoczony był dwoma rzędami kolczastych drutów, psy na linkach między drutami, a dzikusy na bocianach: jak ktoś się zbliżył, to już poterkotało się. Każdy z nas miał numer, baraki również, ale nie pamiętam jaka to była numeracja.

Ludzie ze sobą nie gadali wiele. Ja rozmawiałem, spoza naszej grupki, z takim Skrobiszem spod Warszawy, który był tam sanitariuszem, łapiduchem - jak my ich nazywali.

W Jegolsku pracowaliśmy w kopalni odkrywkowej przy węglu - czarny kamień, świecił jak mosiądz. Z naszego baraku - to był barak kopalniany - chodziło do tej pracy 80 ludzi, na dwie zmiany. Trzecia zmiana to same ^Druskie byli. Tam pokłady były na pół metra, 70 cm najgrubsze. Ale na początku dwa tygodnie byłem cieślą, korowaliśmy drzewo. Kierował pracą jeden majster - Moskał, który w czasie I wojny jako wojskowy poznał dobrze Przemyśl. Pięciu było nas takich cieśli, ale jaki tam cieśla! Trzeba umieć było piłą ciąć i już. Był ze mną Siudak i taki ze Lwowa, po szkole budowlanej. Tłumaczył nam plany, jak mamy ciąć, bo z tego drzewa robiliśmy pochylnię do ciągnięcia wózków na kopalni. Ta kopalnia to były wielkie doły, z których wywoziło się węgiel na powierzchnię na wózkach. Poleżał on, słońce przygrzało dwa dni i się z tego popiół robił. Nie wiem, co to był za węgiel. Zrobiliśmy jedną odkrywkę, przygotowaliśmy pochylnię i przyszli tam Niemcy, a nas na inną pochylnię dali. Wózki, to takie 'lebiodki' były. Na dole się je spinało, jedna Rosjanka włączała silnik i wyciągało się je na górę.

Od Rosjan pracujących na kopalni my byli z daleka... Raz tylko wkurzyłem się i nagadałem im. Oni, jak przychodzili wcześniej, to tańczyli i śpiewali na takich obrotowych płytach dla wózków. Ja raz mówię do nich: "tak wam wesoło, na kartoflach i brukwi?" "A wy tylko placuszki i kartoszki postne żeście kuszali" odezwała się jedna Rosjanka, a ja do niej: "Ja bym Cię wziął do Polski, to byś widziała jak w Polsce się je, nie tak jak u was." Oni mieli pyski takie (p.An-

drzej pokazuje ~~na~~ dużą, szeroką twarz!/ Tam jest powietrze dobre. Ich żołnierz jak szedł, zjadł śledzie słonego, popijał wodą i szedł... Taki naród! W tej nędzy takie zachartowane gady. W kopalni oni mieli nocną zmianę, a my dwie dzienne po 8 godzin. Trzy zmiany musiały być, żeby woda kopalni nie zalała. Rosjanie z nas się śmieli: „Polskie pany, polskie pany!” Taka gadanina z nimi była. Ale ja tam do nich nie leniwy... To mnie ratowało, że ja po rosyjsku się nauczyłem, i ja ich tam: wy mnie jobkacie, to ja was. I to mnie trochę się udawało.

Przed Żydami przestrzegał nas jeden Ruski majster, że te wszystkie inżynierzy, pomierniki, to Żydzi. Po polsku umiał, bo w partyzantce był z Polakami. To było tak: na Bakończycach, gdzie nas trzymali przed wywózką do Jegolska, Niemcy, po 41-wszym, trzymali ruskich żołnierzy do niewoli wziętych i mieli ich wywozić gdzieś na zachód. A ten majster im bryknął. Był niegłupi i gdzieś się zamotał w Przeworsk aż, nie znał terenu, ale dostał się do polskiej partyzantki. On miał całą twarz zapryszczoną od prochu, bo w partyzantce pocisk koło niego wybuchnął i twarz spalił mu proch. Po wojnie wrócił do Rosji i na jakiejś stacji jakiś starszy lejtnant pijany strzelił mu koło ucha. A ten majster był sobie chłop fest, ^{jak go} strzelił w łeb - posadzka była -, lejtnant spadł, tylko nogami naciągnął. Za to majster dostał dziesięć lat w tej kopalni. Mieszkał w mieście Jegolsk, ale poza miasto nie wolno mu się było ruszyć. Jak ruszy się dalej... taki bękart /p.A. pokazuje 1 m wzrostu - p.A. woła: „dawaj dowód”. A w dowodzie napisane dokąd i jak może się poruszać. Majster, fajny chłop, mówi: „Wróciłbym do Polski, ale żal mi. Mam dwoje dzieci i żonę. Ja bym w kałesonach i boso jechał do Polski, ale żeby ~~ni~~ puścili żonę i dzieci”.

Było raz tak, że jeden z tych Żydów uderzył któregoś z Polaków. Zobaczył to jeden z naszych, sierżant z AK, który tam był zbornym, tzn ludzi do pracy rozprawdzał. Jak podszedł do tego Żyda, jak go jebnął... chlap... Żyd więcej nie przyszedł do tej kopalni. A ten ruski majster mówi do mnie: „

"Widzisz tych Polaków z takimi nosami? /p.A. pokazuje zakrzywionym palcem garbatość na nosie ~~→~~/ Oni wszędzie tylko aby żerować." Chcieli inżynierować, w kancelarii tylko...

Pamiętam, raz była kłótnia w obozie w naszym baraku. W kuchni była tzw. chleborezka do cięcia chleba na kanapki. Chodził tam jeden z naszych - on był gdzieś z lubelskiego - po chleb. A tam różne takie ścinki, końcówki chleba byli i jego złapali jak to brał. Jeszcze wcześniej w baraku ginął chleb i ktoś zauważył jak on brał tą nie swoją pajkę chleba. Nie było rady. Zrobiliśmy sąd koleżeński. Rozebrali go, siedł jeden na niego i dostawał 25 pasów. Na zmianę bili. A teraz krzycz, bo więcej ~~kradł~~ kradł chleba nie będziesz Polakom. Ty Polak, ale bądź też Polakiem, bo każdy chce przeżyć. Przenieśli go na inny barak i był spokój.

Obok baraków był taki szpitakik mały. To tam zimową porą na 24 godziny 30-35 do 40 ludzi martwych wywozili. To nie była tortura, ~~to~~ ale gorsze jak tortura. Bo jak robił na polu, a zmarł, zimnica wtedy go łapała i sztywniał. I jak go przyprowadzili albo przywieźli, dostawał jakiś zastrzyk, jaki nie wiem, za dwa, trzy dni gotowy. Rozbierali go i do takiej ziemiłanki głębokiej, jak go mama urodziła, na golasa wrzucali. Jak nawrzucali 4-5 sań, takie płozy ruskie, to wieźli tak za ten obóz, tam były jakieś jamy, wysypywali i dobra. A wilki w nocy zachodzili i rozciągali kośćca.

Nasze samopoczucie? Wierzyli my, że może wrócimy do Polski, jak nas gdzie nie wywiozą dalej i tam zlikwidują, jak w Katyniu Polaków wybili. U nas jeden drugiego na duchu poddźwigiwał.

W obozie były takie zyngruby, ustępy, takie głębokie jamy. Tam popłynął raz jeden Niemiec, bo oszukał jednego chłopaka Polaka. I nasz chłopak się odegrał: pilnował, pilnował, raz ten Niemiec poszedł do ustępu... i go w łeb. Był jeden barak z Niemcami, to byli ekstra Niemcy - oficerowie. Tam ^{był} taki Niemiec porządkowy/barakowy/. I jak w nocy ktoś z naszych szedł sikać / nie wytrzymał, z ludzi się lało/, temu Niemcowi żabki chciało się ćwiczyć na naszych. Raz

go złapaliśmy, drugi raz i jak się zebrało, trzech zdaje się, z naszego baraku i jak go złapali na tych żabkach... my go już nie widzieli. Dali mu manto i tam zagwizdał w tej latrynie.

Pewnego razu, jak przyszedliśmy z pracy, 80 chłopów w jednej grupie, zatrzymali nas koło baraku koło kuchni, dali pajkę chleba 40 deko, kwaterka zupy z tłuszczem rybim, troszkę kapusty, brukwi, czasem kartofelka pływaka, odczytali nas i przeszliśmy bliżej stacji do takiego baraku przechodniego, gdzie czekaliśmy na eszaki /wagony/. Przyszedł taki wielki generał ruski, z taką dużą czapą, biały, czerwony, żółty, diabeł nie wie jaki i zaczął czytać: ten a ten występ. Jak on wyszedł - nie znałem gościa -, tak my go już nie widzieli. Podobnie z "Krzywym" - Fedkiewiczem było. On się coś tam przeciwił. A on był w Przemyślu w sztabie AK i jak się przeciwił, to przyjechał za 11,5 roku. A generał tak mówi do nas: „Wy u nas robiliście, robotali, a nasze wojowali”. Ja se myślę: ta ty gnoju! Kto ci drogę ścieślił, kto najwięcej roboty zrobił? Kto pociągi wysadzał? To tak jak na zasańskim cmentarzu, to akowcy tam porozwalani - to było w gazecie nawet, bo ktoś to pisał już, ktoś z Warszawy -, nazwiska tam: Panci, Ochanka, to inżynierowie przedwojenni! A żeby napisać jacy to żołnierze byli, to nie ma tego! A tam jest coś dosyc, dosyc ludzi, tam wspólny grób jest. Armia Ludowa to tam ma powyznaczane te groby. Po tym przemówieniu generała naczelnika pomału były zbiórki plutonami. Jak szliśmy na stację, to braliśmy sągowe płachy - drzewo do palenia w wagonach - i gwoździe, co szyny nimi przybijali, do łupania tego drzewa.

× W wagonach jechaliśmy po 40-44, to już był luty, już stało się możliwie... I tak my jechali do Białej Podlaski. Na początku my nie wierzyli, że do Polski. Przed granicą przesiadaliśmy się do polskich wagonów i tam pod strażą ruską trzymali nas dość długo, bo nie miał nas kto przyjąć. Pamiętam jednego strażnika, Wasia się nazywał. Dał żyć, w tym Jegolsku z nami chodził na roboty /później nas transportował/ i my z nim chodzili kraść kapustę, brukiew. On mówił:

„Ja tożę głodny”. A tam, koło obozu, była taka stragowa co pilnowała pole kołchozowe. Chodziła z karabinem co miał trzy lufy na trzy kule, a do każdej spust. A Wasia mówi do mnie tak: „Widzisz Andrusza, jak ja jej puszcę po nogach ze swojej talerzówki - a jego bęben miał 75 kul -, to smak straci”. I ona uciekała, a my tak przy nim się żywili.

W Białej Podlasce trzymali nas w wagonach dwa tygodnie i Polacy przynosili nam jedzenie. Ale przed każdym jedzeniem po setce wódki. Mówili: pić, a potem dopiero jeść. Tam Czerwony Krzyż miał dla wracających mundury angielskie, ale wcześniej tyle akowców transportami wracało - mówili, że dotąd 25 transportów przejechało -, że magazyny były już puste. Więc my tak w tych łachmanach przyjechali do Przemyśla.

Jak wróciliśmy do Polski, do Przemyśla, nie mogliśmy się spotykać, bo za nami stróże chodzili. Wróciliśmy wszyscy, tylko Siudak Stanisław zmarł. On był gońcem barakowym i miał wstęp do kuchni. I dostał raz czerwonkę, ale z niej się wylizał. Potem, w kwietniu 1945 roku, jeszcze taki osłabiony poszedł do kolegi barak niżej. I wyszła chmura, deszcz ze śniegiem, tylko chwilowo posypało, ale on miał drewniaki, odkrytą głowę, bez skarpetek i ten wiatr zimny go owiał i za trzy dni nogami naciągnął. Nie było zmiłuj się. Ja byłem przy nim do samego końca, bo wtedy też byłem w szpitalu. I pojechał...

I taka rzecz, jak my wrócili, za nami chodzili krok w krok jak mówiłem. I tak uważam jednego sierżanta z AK - wspominałem o nim wcześniej, Jan Słysz się nazywał -, też wrócił szczęśliwie, ale jak go u nas z UB panowie zawołali raz, drugi raz... tylko do chałupy co doszedł. A nawet nie doszedł, zawieźli go. I sprzątnęli go, bo on się nie przyznawał do niczego. Bo ta cò bedzi gadał! I tak zginie, i tak zginie! Bo to już sierżant był - a tam w Jegolsku też już był zakapowany, ale przez kogo? -. I ja chciałem się koniecznie z nim zobaczyć, był bardzo taki uprzejmy w Jegolsku. Więc jak go zawołali

raz, do niczego się nie przyznał, a im chodziło o starszą akowską, położyli mu na drugi raz dechy... i młot... rąb go tu - na żebra i brzuch... Jak się z nim spotkałem, po powrocie, pierwszy raz, to było tak: jak na ul. 3 Maja tu ^{się} zskrajowało, ja w bramę, on w bramę, smyk i ja zaraz za nim. On mówi: „słuchaj, nie chodź za mną, bo jeszcze i ciebie może to czekać. Mnie tak na przesłuchaniu dawali, nie do wytrzymania.” A na drugi raz już go nie zobaczyłem. Było jasne jak słońce, że został skończony. Mieszkał na 3 Maja gdzieś w górze, nie pamiętam pseudonimu, bo w innym terenie pracował. W innym oddziale, może w oddziale "Klary", który działał w okolicy kościoła Salezjanów.?